

## Czynszak Marcin

### Opus Magnum

Z „Science Fiction” nr 20 – listopad 2002

Marta właśnie przypalała sobie papierosa, gdy rozregulowany dzwonek u drzwi rozwrzeszczał się natarczywie piskliwą melodyjką z *Gwiezdných Wojen*. Choć miała na sobie domowe, rozciągnięte ciuchy i kapcie, to, biegnąc do przedpokoju, nie omieszkała poprawić przed lustrem włosów. W końcu nigdy nie wiadomo, kto...

Na klatce schodowej stał mężczyzna, rozglądając się nerwowo. Przeształ z nogi na nogę, śmiesznie zniekształcony przez szkieleto judasza. Nieogolony, szpakowaty brunet ze zmierzwioną czupryną; wysoki, żyłasty, w starym płaszczu nieokreślonego koloru. Jacek.

Szybko otworzyła oba zamki. Razem z nim wszedł do mieszkania jakiś dziwny, jakby lekko metaliczny zapach.

- Jacek, nie spodziewałam się. Co ty tutaj... - zaczęła, uśmiechając się niepewnie. Nie dokończyła -gość, starannie przekręciwszy za sobą klucze, zamknął jej usta pocałunkiem.

- Ale... No coś ty, przecież... - broniła się bez przekonania, zaskoczona, podczas gdy on bez słowa zaczął zdzierać z niej starą, flanelową koszulę, nie przestając jednocześnie całować twarzy i szyi.

Upadli oboje; nagle - ale jakoś miękko, delikatnie. Papieros poleciał w kąt, zostawiając po sobie cienką smużkę stalowego dymu. Gdy w pośpiechu zdierali z siebie ubrania, przez głowę Marty przeleciały tysiące mniej lub bardziej niepotrzebnych myśli. Jak ona strasznie wygląda, czemu nie zadzwonił, czy nie zapomniała wczoraj wziąć pigułki, że nie zdąży dokończyć artykułu na jutro, czy nie powinni jednak pójść do pokoju, czy na pewno drzwi wejściowe są zamknięte... Wszystko to stało się wkrótce zupełnie nieistotne, ginąc w duszącej mgiełce wilgotnej, dyszącej, irracjonalnej namiętności. Kochali się w przedpokoju, na brudnej podłodze, rozrzucając stojące na wycieraczkach zabłocone buty, przewracając staroświecki stojak na parasole wraz ze schnącymi na nim płaszczami. Kochali się dziko, zachłannie, niecierpliwie, aż do nagłego, boleśnie krótkiego spełnienia.

W ciszy mieszkania wyraźnie słychać było ich szybkie, płytkie oddechy.

- Ty wariacie nienasycony - mruknęła leniwie Marta, nieco uspokoivszy płuca. - Co cię naszło? Najpierw nie pokazujesz się cały tydzień, a teraz...

Jacek nie odpowiadał, dysząc ciężko. Nie patrzył na nią jego oczy płonęły dziwnym blaskiem. Omijały jej łagodną, okrągłą twarz, otoczoną burzą zmierzwionych teraz, nienaturalnie rudych włosów. Omijały jej szczupłe, zgrabne ciało. Wpatrywały się w jakiś nieokreślony punkt na ścianie. Marta była rozkosznie zmęczona, zbyt rozkojarzona, żeby się nad tym logicznie zastanawiać; ale w głębi duszy coś ją niepokoiło.

Podczas całego jej związku z Jackiem, nigdy jeszcze nie zdarzyło się coś takiego. Choć słowo „związek” było tutaj mocno względne - stanowili od lat raczej luźną parę („nowoczesną”, jak lubiła swego czasu mówić), będącą razem, czasem nawet mieszkającą wspólnie (dwa razy: trzy miesiące, a potem jeszcze pół roku), potem zrywającą z hukiem i nie widującą się w ogóle - tylko po to, by za jakiś czas znowu do siebie powrócić. Oczywiście, unikali wielkich słów i deklaracji. To byłoby nie na miejscu. Zarówno ona - dynamiczna, ceniona dziennikarka, jak i on - obiecujący, nowoczesny naukowiec, zdawali się być w pełni zadowoleni z takiego trybu życia: Potrafili sobie wiele wybaczyć (jak wtedy, gdy wynędziały Jacek zapukał do drzwi Marty po ostatecznym zerwaniu z narkotykami i horrorze odwyku), potrafili o wiele nie pytać. Idealny układ dla pary ambitnych i niezależnych trzydziestolatków.

A jednak, mimo wszystko, układ raczej spokojny. Taki, w którym stosunkowo rzadko zdarzały się rzeczy spektakularne. Marta jednak wołała tego zbyt dogłębnie nie roztrząsać. To, co czuła w tej chwili, ten spokój i ciepło - było zbyt blisko „abstrakcyjnego stanu ducha zwanego niekiedy szczęściem”, jak ujęła to w jednym ze swych artykułów. Zbyt blisko, by psuć to szukaniem dziury w całym.

- Wiesz, już prawie mi się udało - odezwał się nagle Jacek, patrząc na nią jasnymi, niemal uśmiechniętymi oczyma.

- Och... co? - Drgnęła, zaskoczona. - O czym mówisz?

- Zdobyłem bezcenne źródła. Dzieła, o których mogłem wcześniej tylko pomarzyć. Ze składnikami i substancjami także nie mam już żadnych problemów. Myślę, że to już niedługo.

- Twoje doświadczenia! - Zrozumiała nareszcie Marta, rozpoznając ten charakterystyczny błysk w spojrzeniu Jacka. - Tak dawno nic nie mówiłeś... I co, udało się ruszyć z miejsca? W tych starych papierzykach był jakikolwiek sens?

- Te papierzyśka, te stare śmieci... - uśmiechnął się lekko Jacek; w końcu dobrze znał stosunek Marty do swojej pracy - ...jak raczysz określać średniowieczne traktaty alchemiczne, to źródło bezcennej wiedzy. Przekonuję się o tym każdego dnia. Ci głupcy, oświeceniowi naukowcy z Bożej łaski - okrzyknęli je stekiem bzdur, mistycznych bujdz, magicznych receptur. Nie mogli się bardziej mylić!

- Zaraz, zaraz. - Zmarszczyła brwi Marta. - Coś się za bardzo zapaliłeś... Ty naprawdę ciągle bawisz się w alchemika? Naprawdę przelewasz dziwne substancje z jednej menzurki do drugiej, zmieniając metale w złoto?

- Sptycasz - zachnął się Jacek, wyraźnie urażony. -Złoto... To był tylko półśrodek, etap na drugiej drodze. Złoto przez wieki po prostu najlepiej działało na wyobraźnię. Transmutacja metali to tylko szczególny przypadek; oni dążyli do celów bardziej wyrafinowanych.

- I ty dążysz razem z nimi - pokręciła głową. - W ten sposób może i rozwijasz swoje hobby... ale jednocześnie tracisz pozycję na uniwersytecie. Co z twoim doktoratem? Założę się, że na Wydziale Chemii nie pozwolą ci robić doktoratu z transmutacji.

- To głupcy - syknął Jacek. - Nie zamierzam wcale tam wracać. I nie chcę już robić doktoratu. Są sprawy ważniejsze, niż jakiś papierek sygnowany przez tych tak zwanych naukowców.

- No, no... - uśmiechnęła się Marta, mrużąc oczy. -Nie zapominaj, że to właśnie tak zwani naukowcy umożliwiają ci pracę i badania.

- Już nie - niemal krzyknął. - Skończyłem z nimi. Mam teraz niezależne źródło finansowania badań. O nic nie muszę prosić tych buców z uniwerku.

- Taaak? Ciekawe... któż był tak hojny, by wspomóc młodego, ambitnego naukowca... Szukającego sposobów przemiany żelaza w złoto?

- Jacek nie odpowiedział. Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech.

- O nie, pani reporter. Mój mecenas jest z gatunku tych dyskretnych. Niemniej jednak, proszę się nie obawiać. W swoim czasie zostanie pani poinformowana o wynikach badań i będzie materiałem na niezły artykuł.

- Zaraz, co ty masz na ręce? - zmieniła nagle temat Marta. Dopiero teraz bowiem dostrzegła na nadgarstku Jacka starą, dziwaczną bransoletkę w kształcie węża pożerającego własny ogon.

- A... to - podniósł dłoń do góry bez specjalnej uwagi. - Można powiedzieć, że dostałem w zestawie. Sprzedawca dołączył bransoletkę do rzadkiego wydania Awicenny.

- Jacek... - westchnęła Marta. - Skąd ty masz kasę na to wszystko? Ostatnio akurat robiłam artykuł o starodrukach. Wczesne niemieckie wydania Awicenny schodzą na aukcjach za kilkaset tysięcy marek! Czy ty się w coś nie pakujesz? Powiedz szczerze...

Przerwała jej fałszywa melodia z *Gwiezdnych Wojen*. Ochryplę: „Poczta!”, nie pozostawiło już żadnych wątpliwości co do tożsamości stojącego na klatce człowieka.

- Roześmieli się oboje - zrywając się z podłogi, w udawanej panice zbierając rozrzucone ubrania, pośpiesznie okrywając swoją nagość.

- Marta nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Jacek śmieje się jakoś dziwnie, wymuszenie.

Suchy, metaliczny zapach ciągle stał w powietrzu.

\* \* \*

Dostawa przybyła jak zazwyczaj - przed czwartą rano. Pierwsza od dwóch miesięcy. Jacek przeklął pod nosem, odrywając się od swoich retort. Oczywiście, nie spał jeszcze. Cichy, szary czas tuż przed świtem był przecież najlepszą porą na pracę, na badania, na... odkrycia? Tymczasem musiał zostawić wszystko i wpuścić natarczywie dobijających się gości. Szybko wbiegł po schodach na górę, by otworzyć boczne drzwi do garażu. W środku najwyraźniej trwała już krzątanina.

Było ich tym razem dwóch, niemal nierozróżnialnych w swej zakaukaskiej, smągłej urodzie; w dodatku obaj nosili prawie jednakowe, skórzane kurtki i duże sygnety na palcach. Jeden stał przy drzwiach, paląc papierosa; drugi sprawnie wyladowywał wielkie kartony ze stojącego w garażu volkswagena busa.

- Nu, chimik - uśmiechnął się ten z papierosem, błyskając złotymi zębami. - Ty nie spał, a?

- Nie - odburknął Jacek, otwierając szerzej drzwi do budynku. - Wcześniej jeszcze.

Drugi Ormianin (a może Gruzin albo i Afgańczyk? Jacek nigdy nie pytał) rzucił coś w dziwacznym, gardłowym języku i obaj przybysze zanieśli się krótkim, nerwowym śmiechem, w którym nie było cienia wesołości. Jacek nie odezwał się, gdy sapiąc, zaczęli znosić kartony do piwnicy.

Tym razem pudła były pełne chińskich zupek. Równe rzędy niewielkich paczuszek błyszcząły kolorowymi inskrypcjami w bladym świetle jarzeniówek. Dziesięć kartonów chińskich zupek, w każdym pięćset błyszczących opakowań.

Wszystko razem warte jakieś kilka milionów dolarów.

Ormianin z porozumiewawczym uśmiechem chwycił jedną zupkę i wprawnym ruchem rozerwał plastik. Trzymał teraz w ręku niepozorną, dokładnie oklejoną paczuszkę, wypełnioną śnieżnobiałym proszkiem.

- Najlepszy towar - wyszczerzył złote siekacze, ale oczy zaświeciły mocniej - na zachód od Kawkazu.

Jacek wiedział, że przemytnik mówi prawdę. Rzeczywiście, zawsze dostarczali najczystsza heroinę; lepszą od kolumbijskiej i albańskiej; najlepszą, z jaką kiedykolwiek się zetknął. Zarówno kiedyś, jako upodlony narkoman, który sięgnął dna, jak i teraz, jako chemik na usługach prominentnego gangu. Wiedział również, że kiedy proszek przejdzie przez jego ręce, będzie jeszcze lepszy. Że zamiast kilku milionów, będzie wart kilkanaście. Bo nawet minimalna, śladowa działka będzie dla wielu bramą do świata, o którym nie mogli wcześniej nawet pomarzyć.

Ogarnął wzrokiem kartony. Jakieś osiemdziesiąt kilo towaru, może trochę więcej. Już dawno przestał się zastanawiać, jak oni szmuglują takie transporty narkotyku przez granicę. To był ich problem. Jego problemem była odpowiednia rafinacja tak wielkiej ilości. Rafinacja... tak to zawsze nazywał, choć jego dawni koledzy z uniwersytetu pewnie by go wyśmiali. Nieważne; oni są już nieważni. Nieistotni. Grzęzną w swoich jałowych, bezsensownych badaniach, podczas gdy to on robi coś naprawdę, naprawdę ważnego. Dokonuje prawdziwych odkryć...

Za pieniądze mafii, uzyskane ze sprzedaży podrasowanej przez siebie heroiny.

To był ten szczegół, którego nie sposób pominąć. Nie, Jacek już dawno przestał mieć z tym jakiegokolwiek problemy natury moralnej; o ile w ogóle kiedyś miał. On dawał im to, czego potrzebowali: towar niedostępny gdziekolwiek na rynku, już poszukiwany przez ćpunów w całym kraju. Ulepszany własną, niepowtarzalną metodą Jacka, którą odkrył zresztą zupełnym przypadkiem, podczas swoich wczesnych prac. W zamian chemik otrzymywał to, co było dlań najcenniejsze: możliwość prowadzenia własnych badań, nie nadzorowanych w żaden sposób. Miał własne laboratorium, nieograniczone fundusze. Idealny układ. Wystarczyło tylko od czasu do czasu przepuścić przez specjalną aparaturę taką ilość białego prochu, która nawet dla niego wydawała się abstrakcyjna.

I przede wszystkim, nie myśleć zbyt wiele. Nie widzieć i nie słyszeć.

Nie widzieć ludzi, którzy mu płacili - ponurych i prymitywnych głupców, od których był całkowicie zależny. Ich aroganckiej pewności siebie, zbudowanej na przemocy i ludzkim strachu.

Nie słyszeć opowieści smagłoskórych przemytników; historii o tym, jak pacyfikowali wsie na jakiejś odległej, azjatyckiej wojnie. Nie dostrzegać błysku złości, okrutnej śmierci w ich wodnistych oczach.

Nie myśleć o narkomanach. O tych tysiącach ludzi upadających na samo dno. Przez niego, dzięki niemu. O tych, którzy raz spróbowały tego towaru, będą go pragnąć już zawsze; po kryjomu sprzedadzą dom, samochód, okradną żonę - byle zapewnić sobie następną działkę. O tych, którzy przez chwilę będą myśleć, że trafili do rajy - podczas gdy bezwiednie wstąpili już w przedsionki najgorszego z piekieł. O tych, którzy skończą, leżąc gdzieś, na podłodze w kałuży moczu i rzygowin, błagając bełkotliwie o cokolwiek, co uśmierzyłoby dziki ból w rozedrganym wnętrzu; ale usłyszą ich tylko puste ściany, śmierdzące kąty i puste okna, z których dawno wybito wszystkie szyby. Doskonale wiedział, jak to jest. Sam żył tak prawie dwa lata, w najzimniejszym zakątku piekła, a chciwe demony narkotycznego głodu przychodziły do niego, rozdzierając na części chore ciało, w którym zabrakło już ochryptego krzyku. Nie było innej drogi. Koniec zawsze był taki sam. Znał to jak nikt i dlatego wołał o tym nie myśleć, nie zastanawiać się. Tak było lepiej.

\* \* \*

Zepsuta jarzeniówka wciąż mrugała, gasnąc i zapalając się w nieregularnych odstępach czasu. Piwnica na ułamki sekund pogrążała się w mroku. Człowiek pochylony nad laboratoryjnym stołem nie zwracał jednak uwagi na takie drobiazgi; wydawał się być całkowicie pochłonięty pracą. Sprawnie poruszał się między gratami nieokreślonego przeznaczenia, kartonami pełnymi chińskich zupek, regałami zastawionymi butlami i słojami z podejrzaną zawartością. Odsunięte w kąt, zakurzone spoczywały liczne maszyny i aparaty, milczące teraz i ślepe, patrzące z wyrzutem swoimi zgaszonymi diodami i ciemnymi ekranami. Komputery, analizatory, lśniąco pojemniki, rurki, instrumenty - wszystko leżało wzgardzone, zapomniane, podczas gdy człowiek uwijał się pośród archaicznie wyglądających alembików, retort i menzurek z grubego szkła.

Jacek już dawno przestał używać nowoczesnego sprzętu. Wydawał się przydatny na początku; wyniki uzyskiwane za pomocą specjalistycznych maszyn były obiecujące, pozornie przyspieszały i wzmacniały reakcje. Dopiero po jakimś czasie przekonał się, że wiedzą go jedynie w te same ślepe zaułki, w których

ugrzeźła chemia akademicka. Okazało się, że - paradoksalnie - wszystkie eksperymenty opisywane w dawnych księgach udają się najlepiej w tradycyjnych naczyniach, używanych od wieków, może nawet tysiącleci. A ponieważ to właśnie w tych księgach szukał prawdziwej wiedzy - naturalną kolejną rzeczą powrócił do tradycyjnych metod. Stosunkowo najdłużej używał nowoczesnych urządzeń do reakcji w wysokich temperaturach, ale z czasem zarzucił i to; teraz jego *athanor*, jego piec alchemiczny również był dokładnie taki, jakiego używać mógł choćby Sędziwój.

Raz jeszcze zerknął do rozłożonego tomu Bacona, zastanawiając się przez chwilę nad poprawnością własnego tłumaczenia. Westchnął, przymykając oczy. Skoro powiedziało się „a”, trzeba powiedzieć i „b”. Zrzucił poplamiony chałat; nie miał na sobie nic poza nim i kilkoma starymi amuletami. Stał nagi nad stołem, gdzie w trzewiach butli i retort wciąż przebiegała reakcja FB-214 (według jego własnej notacji). Odetchnął głęboko, ledwie rejestrując nieprzyjemny, intensywny zapach setki wymieszanych substancji i odczynników. Przywykł do niego już dawno. Z półki po prawej stronie zdjął buteleczkę z zielonkawą cieczą. Z końca stołu przysunął miseczkę z grafitowo połyskującym proszkiem. To były rezultaty jego pracy, jedne z wielu. Stopy, substancje, nawet izotopy, o których jego uczeni koledzy z uniwersytetu mogli sobie pomarzyć. Mimo całej swojej nadętej wiedzy i błyszczącej techniki. Ale te materialne świadectwa sukcesu, to był dopiero pierwszy krok. Dawne traktaty nigdy go jeszcze nie oszukały - a teraz traktaty mówiły, że trzeba pójść krok dalej.

Ostrożnie, z lekką obawą uniósł chłodny skalpel! Przygryzając wargi do krwi, powoli zaczął robić krótkie nacięcia na przedramionach. Gdy ciepła krew zaczęła leniwie sączyć się z płytkich ran, odłożył ostrze - by, zacerpnąwszy zielonego płynu z buteleczki, wcierać go w otwarte właśnie nieciągłości skóry. Z okrzykiem bólu upuścił naczynie, padając na brudną, poplamioną podłogę. Lewa ręka, w którą zdążył wprowadzić substancję, drżała konwulsyjnie, zyskując własne, roztrzęsione bólem życie. Zbierając całą siłę woli, Jacek uniósł się na klęczki; mamrotał poranionymi ustami:

- *Mercurius... Terra... Cornu Cervi...*

Przewrócił się znowu, starając się upaść tam, gdzie wypływający z pękniętej butelki płyn utworzył mętną, niewielką kałużę. Jęknął głośno, przykładając prawą rękę do wilgotnej posadzki; jego krew zmieszała się z pyłem, brudem, a także ciemnozieloną cieczą - owocem eksperymentów VB od 12 do 344.

Potworny ból pozwolił mu litościwie osunąć się w ciemność, zanim zadławił się własnym, ochrypłym krzykiem.

W komnacie bez ścian, rozświetlonej mdłym, bladym, sinym poblaskiem, panowała absolutna cisza. Siedzący w pozycji lotosu, spokojnie oddychający Jacek obserwował spod półprzymkniętych powiek zgromadzone postaci. Oto naprzeciw niego stały trzy ludzkie sylwetki. Trzech starców, o których wiedział, że to Awicenna, Geber i Raimundus Lullus. Najwięksi alchemicy średniowiecza. Ich oczodoły były tylko głębokimi, ciemnymi jamami, z których wypływały błyszczące łyzy: rtęć, srebro i złoto. Ich usta zastygłe, jak zakonserwowane. Ciszy nie mącił żaden dźwięk. Lullus wyciągnął rękę do Jacka, podając błyszczący, zakrzywiony nóż. Geber wyciągnął dłoń, na której spoczywała kupka szarego proszku. Awicenna uniósł ramiona, a wtedy w prześwitach jego luźnej szaty zakłębiły się połyskujące metalicznie robaki. Jacek przyjął nóż, przyłożył krawędzią ostrza do piersi i powoli, nie czując bólu, pociągnął delikatnie wzdłuż linii mostka; od jabłka Adama aż do pępka. Płytką raną urodziła kilka bladych kropelek krwi. Następnie zacerpnął proszku z zimnej, twardej ręki Gebera i sypanął nim po uczynionym nacięciu. Świat zawirował.

Obudził go własny, słaby krzyk. Leżał obolały, zwinięty w pozycji embrionalnej na zimnej podłodze piwnicy, w śmierdzącej kałuży własnego moczu i krwi, wciąż czując w ustach słodkawy, cierpki smak. Był zbyt słaby, by płakać ze szczęścia.

\* \* \*

Kawa smakowała dziwnie. Sztucznie, nienaturalnie. Jacek nie mógł zmusić się do dokończenia zawartości mikroskopijnej filiżanki. Nie pomagał mu w tym wcale zgiełk kawiarni: ludzie, dziesiątki ludzi mówiących, gadających, chichoczących, śliniących się, przekazujących sobie nieistotne informacje, tyśiące nic nie wartych słów.

- Jacek! - W głosie Marty zabrzmiała autentyczna troska. - Co się z tobą dzieje? Nie możesz mi odpowiedzieć?

Odpowiedzieć... Ach tak. Przecież pytała, o tyle spraw. O jego pracę, o badania. O to, czemu się nie odzywał. Nie odpowiadał na telefony. Czy na pewno wszystko w porządku. Co się dzieje. Czy się w nic nie wpakował. Czy nie ma kłopotów. Problemów, zmartwień.

O, nie. Wręcz przeciwnie.

- Nie martw się - postarał się uśmiechnąć. - Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Idzie mi znakomicie.

- Ale... - zawahała się. - Jakoś słabo wyglądasz. Jesteś blady, wymęczony...

- Długo pracuję - odparł natychmiast. - Wiesz, wyczerpujące badania. Mam teraz bardzo dużo pracy.

- Opowiedz mi, co robisz ostatnio - zmrużyła oczy; na moment zobaczył przed sobą Martę - bezwzględną dziennikarkę. - Mówiłeś tylko, że dobrze ci idzie. Chciałabym wiedzieć coś więcej. A wiem tylko, że zakopałeś się z kretesem w jakichś średniowiecznych traktatach.

- Jacek zastanawiał się dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

- Cały czas w nich tkwię - zaczął ostrożnie. - I cały czas przekonuję się, że starzy mistrzowie mieli rację. Powtarzam ich doświadczenia, dodaję coś od siebie... Ciągłe idę do przodu. To byli geniusze.

- I co, doznałeś już oświecenia? Przemieniasz metale w złoto? - uśmiechnęła się lekko. - To, zdaje się, szczyt marzeń alchemika.

- Już ci mówiłem, to tylko etap na drodze. Przemiana jednej substancji w drugą to tylko kolejny kroczek do odkrycia struktury materii. Podstawowych zasad rządzących materialnym światem. I to zasad, o których naukowcy zbrojni w swoje spektrometry i mikroskopy elektronowe nie mają bladego pojęcia. Błędem oświeceniowych chemików było całkowite odrzucenie strony duchowej, tej mistycznej podszewki naszej realnej rzeczywistości. Myśleli, że można doskonale wyizolować atomy, cząsteczki, siły; opisać je równaniami, zaszufladkować w odpowiednich przegródkach, a wszelkie tajemnice budowy materii zobaczą wtedy jak na dłoni. To był ich największy błąd! Starożytni i średniowieczni alchemicy byli także filozofami, myślicielami, lekarzami. Zdawali sobie sprawę, że tak zwana materia nieożywiona nie może być oddzielona od całej reszty świata. Od bogactwa ducha, umysłu. Wiedzieli, gdzie szukać ostatecznej wiedzy. Rozwiązania zagadek rzeczywistości. Wiedzieli, że prawda i poznanie leży w syntezie, nie w analizie. Dlatego badacza nie mogą zastąpić maszyny!

On także musi dać z siebie wiele, aby wiele osiągnąć. Substancje, które powstają w laboratorium są tak samo ważne jak fluidy ludzkiego ciała i mądrego, otwartego umysłu. Jedynie ich połączenie...

Przerwał nagle, dostrzegając przestraszony wzrok Marty. Cholera. Zagalopował się.

- Jacek... - zapytała cicho, patrząc mu prosto w oczy. - Cytowałeś mi jakąś starą książkę, prawda? Jakąś rozprawę nawiedzzonego mistyka o jedności elementów...? Ty przecież nie...?

- Nie... to znaczy tak - chrząknął zmieszany. - Cytowałem. To jeden z wykładów Paracelsusa. Ale wiesz, to wcale nie jest głupie. Oni mieli w wielu sprawach rację...

- Rację? - zachnęła się Marta. - Daj spokój. Przecież dzisiaj to brzmi jak jakiś bełkot New Age. Kto może to brać poważnie? Jeszcze rozumiem: nawiedzony laik, ale ty? Chemik z dyplomem?

Ukrył twarz w dłoniach. To chyba nie miało sensu. Jak mógł rozmawiać ze ślepyim o kolorach? Zresztą, doskonale rozumiał jej punkt widzenia. Sam jeszcze dwa lata temu myślał przecież podobnie i wiedział, że próby wyjaśniania czegokolwiek tamtemu Jackowi byłyby z góry skazane na porażkę. Bo jak mógłby mu wytłumaczyć dokonywane w prymitywnym, staroświeckim laboratorium udane eksperymenty, skutkujące uzyskaniem niespotykanych stopów? Zupełnie nowych substancji o zaskakujących właściwościach? Jak wytłumaczyłby fakt traktowania zupełnie serio i dosłownie traktatów o jedności twórcy - eksperymentatora i jego dzieła? Wprowadzania otrzymanywanych substancji do organizmu, co skutkowało niesamowitymi sensacjami psychosomatycznymi, a jednak - wbrew logice - najwyraźniej nie było jednoznacznie szkodliwe? Przecież to kompletne szaleństwo. Nie, racjonalistka Marta prędzej od razu zadzwoniłaby po karetkę, niż uwierzyła w choć jedno słowo.

- Jacek - usłyszał jej cichy, dziwnie drżący głos. - Powiedz mi prawdę. Czy ty... znowu...

Zrozumiał natychmiast. W oczach Marty szklily się zwyczajne, ludzkie, jasne łzy.

- Nie! - powiedział zdecydowanie. - Nie wróciłem do narkotyków. Nic nie biorę. Nic nie palę. To już zamknięty rozdział w moim życiu. Od dawna.

Powiedział jej prawdę. I Marta to czuła: ten Jacek, który siedział przed nią, w ogóle nie przypominał tamtego, sennego, wychudzonego, przećpanego, z wodnistymi oczyma rozpalonymi niezdrowym blaskiem. Ten Jacek był inny. Nawet zewnętrznie: jego cera była jakby ciemniejsza, rysy ostrzejsze, oczy zimne, odległe. Zachowywał się zupełnie inaczej... A jednak coś nieuchwytnego kazało jej kojarzyć dwóch Jacków: „tego z samego dna nałogu, nie mogącego złożyć jednego sensownego zdania - i tego dzisiejszego, z zapalem, wylewnie opowiadającego o swojej dziwacznej pasji. Może to jakieś opary, pomyślała. Przecież wdycha w tym laboratorium różne świństwa. Uśmiechnął się, gdy powiedziała to głośno.

- Opary... Nie martw się o mnie - powiedział uspokajająco. - Mówiłem ci, że alchemicy byli najczęściej lekarzami. Wiedzieli, co szkodzi człowiekowi. Nic mi nie będzie.

Sam starał się nie zastanawiać zbyt wiele nad następstwami badań dla organizmu. Nad tym, co tak naprawdę widział i czuł po przyjęciu wytworzonych substancji (co zresztą było niezbędne dla całego procesu, całej ścieżki). Makabryczne, niepokojące wizje: puste komnaty, rozległe przestrzenie, dziwacznie okaleczeni ludzie witający go w swoim świetle... Jednego był pewien: w niczym nie przypominało to narkotycznych omamów, sztucznie sprokurowanych tripów. Swego czasu próbował naprawdę wielu świństw: opiatów, grzybów, wszelakiej chemii (nierzadko własnoręcznie udoskonalanej). A jednak niczego, co przeżył na haju przez te kilka lat (które teraz wydawały się wiekiem), nie dało się nawet porównać do tych krótkich chwil zespolenia, kiedy alchemik jednoczył się z materialnym owocem swojej pracy. Myślał o nich „wizje”, ale tylko z braku lepszego określenia. Były zbyt... boleśnie realne. Zbyt dotykalnie prawdziwe. Właśnie dlatego nie mógł ich w żaden sposób utożsamiać z onirycznymi, surrealistycznymi odjazdami w narkotyczne niebo-piekiło. To także utwierdzało go w przekonaniu, że podąża właściwą drogą.

Czasami tylko w oko wpadały drobne okruchy, bolesne grudki wątplenia. Jak teraz, gdy patrzył na Martę jak nigdy przestraszoną, zatroskaną, zmartwioną. Martę - silną, samodzielną, cyniczną kobietę, twardo idącą przez życie... i tak przejmującą się jego losem.

Nie mógł jej powiedzieć wszystkiego. I tak by nie zrozumiała. Zamiast tego, wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni, spoczywającej na kawiarnianym stoliku.

Cofnęła ją natychmiast, odruchowo, już w tej samej chwili żałując swojej niezamierzonej reakcji.

Dłoń Jacka była boleśnie lodowato zimna.

\* \* \*

Ruch na górze zwiastował przybycie gości. Jacek potarł zmęczone oczy, ostrożnie zamykając grubą księgę. Na schodach już słyszał ciężkie kroki. Domyślał się, kto to - i zrobiło mu się niedobrze.

Zgodnie z oczekiwaniami, do piwnicy wkroczył „Jeżyna” ze swoim ochroniarzem, zwanym „Bólem” czy „Bysiem” (Jacek nigdy nawet nie starał się zapamiętać). „Jeżyna”, mimo że był teraz jednym z bossów grupy, wciąż miał wygląd PRL-owskiego cinkciarza. Rozbiegane oczka, włosy ulizane żelazem, gruby złoty łańcuch. Dziobata twarz na chudej szyi, ruchliwe, drobne dłonie. Oczywiście skórzana kurtka i błyszczące czarne buty do białych skarpetek. Człowiek o mentalności drobnego złodziejaszka, który wskutek niezbadanych wyroków losu zawędrował na sam szczyt - we własnym rozumieniu. „Bolo” również prezentował się typowo - ogolony do skóry paker o grubym karku, w czarnej kurtce do niebieskich dresów i w markowych adidasach. Żołnierz, mówił o sobie z pewną dumą. Pionek, myślał o nim Jacek. Nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

- Cześć, magister! - rzucił wesoło „Jeżyna”; tak ochrzczili chemika na samym początku. - Słabo wyglądasz, jakbyś balował całą noc. Gały podkrążone, ręce ci się trzęsą. Kurwa, chłopie, wyglądasz jak trup, he he! No ale... jak robota?

- Nie najgorzej - mruknął Jacek, słabo ściskając wyciągniętą dłoń. - Już prawie kończę z tą partią.

- To nieźle - uśmiechnął się bandyta, błyskając metalowym zębem. - Powiedz mi, magister, jak ty to robisz? Z tym całym badziewiem obrabiasz tyle towaru w trzy miga... W tych butelkach? Przez te rurki? - wskazał na alembiki i pelikany. - Mój stary pędził w czymś takim bimber, ale żeby towar przerabiać... He he...

- Jakbym ci powiedział, jak to obrabiam, to już bym nie był potrzebny, nie? - uśmiechnął się Jacek, kątem oka obserwując „Bola”, przyglądającego się uważnie stojącym na półkach słojom.

- Taaa...- w małych oczkach „Jeżyny” błysnęło coś złowrogiego, ale już za chwilę się rozpromienił. - Ty jesteś potrzebny, magister! Co my byśmy bez ciebie zrobili, he he... - poklepał go protekcjonalnie po policzku, odwracając się do wyszczerzonego pakera. - Pracuj dobrze, pracuj, a będziesz tu u nas miał zawsze jak w niebie!

Jacek nienawidził go w tej chwili. A jeszcze bardziej nienawidził siebie - za to, czym się stał; i za fakt, że nic nie robi, by to zmienić. Zbyt wiele miał teraz do stracenia. Dalej będzie się wysługiwał tym półgłówkom, kreaturom złym, małym i obrzydliwym. Będzie dla nich pomnażał zyski z handlu śmiercią. Uczestniczył w wielkim, przestępczym procederze. Pośrednio przyczyniał do tragedii tysięcy mniej lub bardziej niewinnych ludzi. Dostarczał najpierw fałszywego szczęścia, potem prawdziwej gehenny.

Bo gra była tego warta. Taka okazja mogła się już nigdy nie powtórzyć. Poza tym, doszedł już tak daleko, że głupotą byłoby się cofać.

O nie, nawet tego nie rozważał.

- Mamy dla ciebie prezent - odezwał się nagle „Jeżyna”. Na jego znak „Bolo” niedbałe rzucił na stół trzymaną dotychczas w ręku sporą reklamówkę.

- No, zobacz - uśmiechnął się gangster.

Jacek sięgnął do torby i zrobiło mu się bardzo gorąco. Ochroniarz tak nonszalancko obnosił tom Dżabira Ibn Hajjana. Najstynniejszego z arabskich alchemików. Zaginione dzieło, którego jedyny znany egzemplarz skradziono prywatnemu kolekcjonerowi w Irlandii czternaście lat temu. Światowy rarytas. Jego księga-marzenie.

- Jak... skąd? - zdołał tylko wykrztusić, patrząc na książkę wielkimi, okrągłymi oczyma. Odpowiedział mu prostacki rechot „Bola”.

- Ty nie pytaj skąd, magister - powiedział wreszcie szeroko uśmiechnięty „Jeżyna”. - Dalesz listę książek, które byś chciał? Dalesz. Dostarczamy? Dostarczamy. Ty robisz swoje, my robimy swoje. Według umowy. Uczciwy układ, nie? I możesz sobie tutaj pędzić, co tylko chcesz.

Jacek już go właściwie nie słuchał, wpatrzony w bezcenną księgę, którą obnosili jak cegłę w reklamówce. Za nią jedną gotów był teraz błogosławić tych, których przed chwilą najchętniej by zamordował. Czuł podświadomie, że to tam znajdzie wszystkie brakujące elementy, potrzebne receptury, niezbędne informacje. Tajemnica leżała w zasięgu ręki.

- Magister - mruknął „Jeżyna”, nachylając się konfidencjonalnie, choć oczywiście w piwnicy nikt nie mógł ich usłyszeć. - Jest jeszcze jedna sprawa.

- Tak... co? - Jacek niezbyt przytomnie spojrzał w nagle spoważniałą twarz gangstera. Niech teraz wyjdą. Niech dadzą poczytać. Popracować. Teraz.

- Ostatnio kojfnęło kilku gości, co kupowali nasz towar. Tylko ten twój. - Spojrzał z ukosa „Jeżyna”.

- To się zdarza - zmrużył oczy chemik. - Pewnie przedawkowali.

- Ponoć nie. Oni brali rasowany proch od samego początku, ale w równych działkach. To było paru ćpunów z dworca, ale też jeden taki dziany gościu. I to już niedobrze.

- No i...?

- No i uważaj, magister - „Jeżyna” już się nie uśmiechał. - Ja nie wiem, co jest grane. Ja jestem prosty biznesmen. Ja zakładam, że ty jesteś, he, uczciwy facet. Ale jak zacząłeś coś kantować, jak coś kręcisz na boku, jak teraz proch jest inny, niż był... To uważaj. Jak wszystko dalej będzie, jak było - to git. Będziesz miał książki, stare flaszki i wszystko. Ale ty nie próbuj tu nic kręcić. Niech będzie po staremu. I wszyscy będą szczęśliwi.

Jacek przełknął ślinę. Było po staremu. Cały czas było po staremu. Ale teraz zaczął dostrzegać w tym problem.

\* \* \*

Siedział w kręgu świec (jarzeniówka dawno już zepsuła się ostatecznie). Odblaski pełgały po ścianach, pokrytych wzorami, formułami i rysunkami. Umieścił je właśnie tam, by nie musieć nieustannie wertować grubych tomiszcz. Jego biblioteka alchemiczna, zgromadzona przy pomocy niemal niepiśmiennych bandytów - była już naprawdę pokaźna. A przez to niełatwa w przeszukaniu. W rzadkich już chwilach otrzeźwienia, kiedy był w stanie spojrzeć na wszystko chłodnym okiem - stwierdzał, że jego pracownia wygląda imponująco; jak dekoracja do filmu niemieckich ekspresjonistów.

Światło świec lizało także nagie ciało Jacka, pokryte śladami po oparzeniach, ozdobione rozległym, skomplikowanym ornamentem blizn, upstrzone pajęczynami nacięć. Oddychał głęboko, powoli gęstym powietrzem piwnicy, przesiąkniętym oparami właśnie dokonujących się eksperymentów AV 19 i AW 201. Przed nim, na posadzce, spoczywała miska z gęstym, matowym płynem. Zdecydowanym ruchem dosypał do niej trochę białego, drobnego proszku i odrobinę metalicznych opiłków. Mikstura zasyczała, gdy zamieszał ją stalową szpatułką. Obok leżała duża, szklana strzykawka.

- Mars... Luna... *Caput Mortuum*... - szeptał gorączkowo, ujmując ją w drżące dłonie, zanurzając w naczyniu, odciągając tłoczek.

Zaiste, traktat arabskiego uczonego sprzed setek lat bardzo mu pomógł. On ostatecznie nakierował go we właściwą stronę. Powiedział, gdzie szukać. Właśnie dzięki niemu trzymał teraz w ręce owoc kilkuset eksperymentów, niepozorną substancję, stojącą już o włos od końcowego celu. Snu, który niebawem miał się ziścić.

Od *Opus Magnum*. Kamienia filozoficznego. Ostatecznego rozwiązania zagadki materii.

Był już naprawdę blisko. Wyniki jego eksperymentów zadziwiłyby niejednego poważnego profesora. Niepozorne butle i pojemniki, stojące w nieładzie na półkach, zawierały niemożliwe stopy. Teoretycznie nietrwałe pierwiastki i izotopy. Substancje o niespotykanych właściwościach transmutacyjnych, nieistniejące gdzie indziej kwasy, zasady, sole. Tak, w dziedzinie doświadczeń praktycznych doszedł już prawie do końca. Teraz niezbędnym krokiem na ścieżce było kolejne zjednoczenie pierwiastka martwego z żywym. Twórcy z jego dziełem. Był gotów.

Wciąż mamrocząc słowa w martwym języku, wbił igłę strzykawki w zgięcie ramienia, w gotową, zgłodniałą żyłę. W ostatniej chwili prawie roześmiał się na myśl o tym, jak kiedyś, lata temu, robił to setki razy by uciec w świat heroinowych snów; kolorowych, fantastycznych rojeń, będących tak daleko od rzeczywistości, jak to tylko możliwe. Tym razem było wręcz przeciwnie: karmił swoją żyłę czymś, co pozwoli zbliżyć się do istoty świata. Przeniknąć oponę rzeczywistości i poznać jej najtajniejsze mechanizmy.

Odpłynął bez bólu. Bez krzyku. Spokojnie, jak nigdy, osunął się na drugą stronę.

Czekali na niego, tym razem w czwórce. Była z nimi kobieta, której nie znał. Wysoka, ubrana w coś w rodzaju rzymskiej tuniki. O twarzy przysłoniętej brązową maską. Nie stali w pustej komnacie; był to plac o średnicy około dwudziestu metrów. Ze wszystkich stron nachylały się domy: niskie, rozlatujące się kamienice i potężne, strzeliste wieżowce. Wszystkie w różnych stadiach rozkładu; zniszczone, spalone, na wpół zburzone, straszące szkieletami zniszczonych konstrukcji, pustymi oczodołami okien. Pochylone pod nieprawdopodobnym kątem, zawieszane w nicości, oświetlane upiorną, pastelowo czerwoną poświatą bez widocznego źródła. Nie było nim na pewno opasłe, czarne Słońce wiszące nisko nad horyzontem.

Trzej alchemicy rozstąpili się. Na niewielkim podeście leżała grudka o trudnym do określenia kolorze. Raz bezbarwna, raz mieniąca się wszystkimi barwami tęczy, raz czarna jak noc. Jacek nie mógł oderwać od niej wzroku. Wewnątrz wciąż zachodziły jakieś procesy, coś się tworzyło, coś umierało; mikro-kosmosy rodziły się i ginęły w ułamkach sekundy mechanizmy istnienia pracowały w pełnym świetle; żarna rzeczywistości miały na jego oczach potok czasu; tak widoczne, tak... dostępne.

*Opus Magnum.*

Kamień filozoficzny. Szczyt i ukoronowanie pracy, badań, całego życia; całego wszechświata. W ciszy wyciągnął dłoń.

Przed podestem stanęła kobieta w brązowej masce. Powolnym, leniwym ruchem rozchyliła tunikę. Jej klatka piersiowa była otwarta: wewnątrz tłuło się żywe, bijące ludzkie serce. Pośród cichej martwoty groteskowego miasta, pośród suchego, metalicznego nie-życia trójki umarłych alchemików - szybkim, ale równomiernym rytmem biło prawdziwe, czerwone, pulsujące serce.

Między nim a jego ostatecznym celem.

Pojął wszystko w jednym przeblysku. Wszystkie niejasne fragmenty w dawnych traktatach. Sens wyrafinowanych metafor, zawoalowanych aluzji, niezrozumiałych porównań. Obudził się na podłodze w piwnicy, wstrząsany bezsilnym płaczem.

Nie było odwrotu.

\* \* \*

Marta podtrzymała go, gdy się zatoczył. Szedł twardo przed siebie, z rękami wbitymi w kieszenie, wpatrzony w popękane płyty chodnika.

- Jacek - powiedziała kolejny raz, niemal błagalnie. - Co się z tobą dzieje? Nie poznaję cię! Wyglądasz strasznie...

O tak, to musiał być fakt. Gdy po raz pierwszy od miesięcy spojrzął w lustro, patrzyła na niego stamtąd straszna twarz wychudzonego psychopaty o płonących oczach i miedzianej skórze, okolona długą brodą i tłustymi włosami. Nie był w najlepszej formie. Ręce drżały coraz mocniej; w zasadzie nie był już w stanie przeprowadzać nowych doświadczeń - ale i nie musiał. Wszystkie składniki, „półprodukty”, już dawno wytworzył. Oprócz ostatniego. Najważniejszego.

Bandyci na szczęście także dawno go nie odwiedzali - może za Kaukazem zaczęła się kolejna wojna i następne transporty białej śmierci spóźniły się o jakiś czas.

Powinien zdążyć.

- Jacek! - krzyknęła; jej głos zadrżał. - Chodźmy, nie stój tak! Chodźmy do lekarza!

Dziwne, dopiero teraz się zorientował, że stoją od dłuższego czasu przy jakiejś wystawie, a wokół zaczynają przystawać gapie.

- Tak... chodźmy - wybełkotał, ruszając przed siebie. - Do żadnego lekarza. Nie jest mi potrzebny.

- Jesteś chory - płakała Marta. - Proszę cię! Nie wiem, co ze sobą robisz, co teraz bierzesz... Ale to cię zabija! Nie przejdiesz przez to wszystko drugi raz. Jacek, proszę cię, chodź...

- Nie! - krzyknął, aż odwróciło się kilku przechodniów. - Jestem zdrowy! Nie wiesz nawet, jak bardzo. Nie biorę żadnych prochów. To byłby marny ersatz! Omamy i projekcje... Ja jestem teraz na granicy prawdziwego widzenia, prawdziwego poznania, rozumiesz? Na granicy idealnej syntezy. Pierwiastki... Siły, żywioły... Rozumiesz... Już prawie wszystkie, tylko ostatni... brakuje... piąty żywioł... Dopełnienie...

- Jakie dopełnienie? - Po ładnej, okrągłej twarzy Marty płynęły łzy. - Jacek, proszę... Chodźmy do lekarza, potem będziesz dalej szukał swojego dopełnienia, swojego żywiołu... Tylko pozwól mi... Ja nie mogę patrzeć, jak się kończysz...

- Zaniósł się śmiechem, który szybko przeszedł w suchy kaszel.

- Kończę... ja! - zarechotał. - Ja dopiero zaczynam. Stoję u progu i niedługo go przekroczę, jeśli... jeśli... daj mi spokój! - wyrwał się, gdy spróbowała wziąć go pod rękę.

- Jacek, nie rób mi tego - powiedziała cicho. - Jeśli nie chcesz dla siebie... To pomyśl chociaż o mnie. Przecież ja cię kocham, wariacie. Słyszysz, pieprzony egoisto? Kocham cię.

Spojrzał na nią, zmarszczywszy czoło. Na usta wypłynął mu niedobry uśmiech.

- Nigdy... jeszcze nigdy... - zaczął nieskładnie.

- Tak - przerwała mu, uciekając wzrokiem. - Też mi głupio, że musiałam ci to powiedzieć akurat teraz, ale...

- Nieważne. Pójdę z tobą do lekarza - uniósł rękę, gdy chciała mu przerwać, rozpromieniona. - Ale najpierw muszę ci coś pokazać.

Ruszyli razem w dół ulicy, trzymając się za ręce, zataczając i opierając o ściany domów. Przechodnie patrzyli za nimi, zgorszeni.

\* \* \*

Zakapior przy bramie willi cokolwiek się zdziwił, widząc magistra prowadzącego jakąś cizję. Ponieważ tamci kompletnie go zignorowali, najpierw długo myślał, a potem złapał za komórkę, nerwowo wybierając numer „Jeżyny”.

Jacek domyślał się, że ma mało czasu. Zresztą i tak miał go niewiele: jego rasowana heroina zbierała w mieście krwawe żniwo. Klienci umierali cicho, bez bólu, na ostrym haju - po kolejnej, zupełnie normalnej działce. Liczba ofiar szła już zapewne w setki. Cóż, nieprzewidziane skutki uboczne: nie znał się specjalnie na biologii ani medycynie; wiedział jednak, że jeden ze składników niezbędnych do „rafinacji” hery może długofalowo działać bardzo niekorzystnie na naczynia krwionośne. Zatory, zawały... Nie spodziewał się tylko, że skutki objawią się tak szybko: dawał klientom co najmniej jeszcze kilka lat. Na szczęście sam nigdy nie brał tego towaru; tak się złożyło, że przygodę z „rafinacją” zaczął już po definitywnym zerwaniu z nałogiem. W każdym razie teraz nie miał złudzeń, że grupa położy na nim kreskę - i to raczej wcześniej, niż później. Miał tylko nadzieję, że zdąży, zanim cała sprawa wypłynie. Widział, że jest szansa.

Poprowadził trochę przestraszoną Martę do piwnicy, bełkocząc coś o nowych doświadczeniach i eksperymentach. Aż pisnęła, kiedy ujrzała ponure wnętrze w świetle padającym z korytarza.

- Jacek, co to jest? - Jej głos drżał. - Gdzieś ty mnie przyprowadził? Co to za miejsce? Ten goryl przy bramie... Luksusowa willa i taka piwnica... Co to za satanistyczna nora? Te rysunki na ścianach... Ten smród... Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że to właśnie twoje przesławne laboratorium?

Odmruknął coś pod nosem, drżącymi rękami zapalając świece. Pośpiesznie zerknął jeszcze w kilka ksiąg - żeby mieć pewność, absolutną. Chociaż i tak ją miał. Od czasu, gdy ujrzał kobietę o bijącym sercu w czerwonym mieście.

- Kochasz mnie? - zapytał nagle, wbijając w Martę szalony wzrok.

- Tak... tak, ale czemu... - odpowiedziała niepewnie, wciąż stojąc na progu. Podszedł do niej, zahaczając rękami o regały, podnosząc jakieś szmaty.

- To bardzo ważne - uśmiechnął się szeroko, przykładając jej do ust brudną gazę, nasączoną obficie eterem. Szamotała się tylko chwilę, przytrzymał ją w silnym uścisku. Gdy osuwała się na posadzkę, w jej oczach gasł niewypowiedziany, straszny wyrzut.

- Piąty żywioł - sapał Jacek, ciągnąc bezwładną Martę w kierunku stołu laboratoryjnego. - Dopełnienie. Już starożytni wiedzieli, że cztery pierwiastki materialne to nie wszystko. Woda, ogień, ziemia, powietrze. Mało. Potrzeba jeszcze piątego, który zwiąże i dokona syntezy. Piątego. Duchowego. Miłości. To takie banalne.

- Tak samo tutaj - dyszał, zrywając z niej zakiet. - Jest to element niezbędny. Ostatni konieczny, by zsyntetyzować *Opus Magnum*. Moje *Opus Magnum*. Miłość. Kto by pomyślał.

Pochylił się nad bezwładnym ciałem, trzymając w drżącej ręce ostry nóż.

- Esencja życia, esencja miłości - zasyczał, nacinając głęboko, niecierpliwie rękę Marty. Gdy krew buchnęła z rany, podstawił szybko niewielkie naczynie, po czym naciał własne ramię.

- Magisteeer! - usłyszał nagle krzyk, gdzieś z góry.

- Cholera - mruknął, zabierając z podłogi miseczkę z krwią. Przełał ją do dużej retorty; następnie zaczął tam pospiesznie zlewać i zsypywać zawartości zgromadzonych na stole naczyń: płyny, proszki, opiłki, koloidy.

- *Sol, Sulfur, Alkahest...* - szeptał, nerwowo mieszając w naczyniu drżącą ręką.

- Nic się nie stało. Zawartość retorty wyglądała jak mętna, nijaka ciecz. Straszliwy robak zwątpienia nie miał jednak czasu, by nadgryźć duszę Jacka: słysząc kroki na schodach, bez wahania uniósł retortę i wypił aż do dna, krztusząc się i kaszląc.

Świat wyglądał normalnie tylko przez chwilę. Potem Jacek wiedział już, że się udało. Widział prawdziwą rzeczywistość. Strukturę materii. Nie jakieś tam cząsteczki czy atomy: on widział drobne, małe włókienka, zaplecione wokół siebie w misterny sposób, połączone, tworzące najdziwniejsze struktury. Wiedział jednak, że wizualizacja nie jest tu najważniejsza: ktoś inny mógłby zobaczyć kulki, gwiazdy, struny. On widział włókienka. Co więcej, mógł je przestawiać, rozplątywać, zmieniać układ tak, by stworzyć coś zupełnie innego. Transmutacja żelaza w złoto zdawała się być w tym momencie igraszką.

- *Opus Magnum* - szepnął Jacek zachwycony, podczas gdy w drzwiach stanął bandyta o proweniencji cinkciarza. „Jeżyna” zawahał się tylko chwilę, widząc leżącą w kałuży krwi Martę. Potem, miotając przekleństwa, sięgnął pod skórzaną kurtkę, by dobyć pistoletu.

Jacek obserwował to ze spokojem. Bez wysiłku skondensował powietrze nad głową gangstera, szybko zmieniając jego strukturę wewnętrzną na zbliżoną do kamienia. Szara bryła o wadze ponad dwustu kilogramów powaliła „Jeżynę”. Spod dziwnego głazu powoli wypływała ciemna, gęsta krew.

Już go to nie interesowało, bo w ścianie za stołem odkrył przejście do innego świata. Ściana miała teraz konsystencję woalu, zasłony; za nią rozciągała się czerwona, jasna równina. Gdzieś na horyzoncie majaczyły ponure sylwety pochylonych wieżowców; na krawędzi pola widzenia przesuwały się jakieś zamglone istoty, wydając z siebie upiorne, piskliwe ryki - bowiem po raz pierwszy kraina nie była niema. Pulsowała niepokojącymi, nieludzkimi odgłosami; sykiem i bulgotaniem, szelestem i jękiem, krzykiem i szepem.

Niedaleko, tuż pod olbrzymim, czarnym Słońcem, stało trzech alchemików, przyzywając go do siebie. Ruszył. Wiedział, że musi tam iść.

Gdy był już prawie po tamtej stronie, coś go zatrzymało. Szarpnął zdziwiony, próbując rozsunąć woal, do końca otworzyć wrota. Na próżno. Utknął w ścianie, utknął w ulotnej zasłonie, nie mogąc poradzić sobie z tworzącymi ją włóknami. Nie mógł się również cofnąć. Pozostał na krawędzi światów, przerażony, unieruchomiony, oszalały ze strachu.

- Oszukaliście mnie! - krzyknął w kierunku trzech postaci. Jego głos brzmiał głucho w czerwonym powietrzu. I wtedy zrozumiał, jak bardzo się myli.

Nie oszukali go. Piąty żywioł, dopełnienie, był niezbędny. Potrzebna była miłość prawdziwa - i żywa.

A Marta właśnie w tej chwili zmarła. Jej słabe serce nie wytrzymało szoku i upływu krwi.

\* \* \*

Kiedy znaleźli go ludzie „Jeżyny”, Jacek już nie żył, groteskowo tkwiąc zanurzony w ścianie do połowy. Nie zastanawiali się długo nad tym fenomenem. Tak, jak im kazano, permanentnie uprzętnęli wszystkie dowody; niszcząc i paląc laboratorium, naczynia, retorty, alembiki wraz z całą willą.

Stare książki posłużyły za świetną podpałkę.

**Marcin Czyszczak**